

**OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE
W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBROŃCY**

**Wywiad z Pawłem POŁCIEM
przeprowadzony przez Grzegorza Kaczorowskiego
w Bydlinie k. Słupska, dn. 16 sierpnia 2008 roku**

Nazywam się Grzegorz Kaczorowski. Jestem ankieterem Fundacji KOS, która prowadzi badania zatytułowane „Ostatnie ofiary stalinizmu” i „Ocalmy od zapomnienia”. Celem badania jest zebranie świadectw osób będących ofiarami represji w okresie 1944-1989 ze szczególnym uwzględnieniem okresu stanu wojennego. Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery.

Czy mógłby się Pan przedstawić?

Paweł Połć.

Gdzie i kiedy Pan się urodził?

Lat 57, urodzony w Słupsku. Całe życie, z wyjątkiem studiów i więzienia tutaj na miejscu.

Chciałbym porozmawiać z Panem chwilę na temat historii Pana rodziny. Kim byli Pana rodzice i jaki zawód wykonywali?

Ojciec do emerytury był kierowcą w pogotowiu, mama pracownikiem fizycznym w zakładach obuwniczych, potem na portierni. Obydwoje jeszcze żyją. Ojciec-86, mama – 80 lat.

Pochodzą stąd?

Nie. Ojciec pochodzi z lubelskiego, uciekał przed NKWD, był tam w Armii Krajowej. Nawet zaliczył siedzenie na zamku w Lublinie, co podobno przyjemne nie było. Mama natomiast pochodzi z Mazowsza, spod Gostynina i z całą rodziną była wywieziona na roboty do Niemiec, obecnie to są tereny polskie, koło Drawska. I po wojnie mama tutaj, na Pomorzu została.

Czy ma Pan, względnie miał Pan, rodzeństwo?

Mam dwie młodsze siostry.

Czy Pana rodzice byli zaangażowani w działalność społeczną bądź polityczną?

Ojciec był za bardzo represjonowany, aby potem móc się wychylić. Bo to i ja jeszcze pamiętam w latach 50-tych, kiedy nieraz o 6 rano, a nieraz i wcześniej przychodzili smutni panowie i przetrząsali chałupę...

Rozumiem, że rodzice nie byli w PZPR?

Nie, nie, chroń Panie Boże!

Czy mógłby Pan wskazać jakieś wartości, które w Pana rodzinie były szczególnie ważne.

Może to patetycznie zabrzmieć, ale tradycyjne: Bóg, Honor, Ojczyzna.

Porozmawiajmy teraz na temat Pana działalności społecznej i opozycyjnej. Czy należał Pan do jakichś organizacji społecznych, kościelnych, młodzieżowych?

W okresie studiów Zrzeszenie Studentów Polskich. To był w latach 70-tych taki jakby związek zawodowy studentów. Bo oprócz tego działały zwykle na uczelniach dwie organizacje- to był ZMS i ZMW. Z tym że ZMS zawsze na uczelniach był w formie szczytkowej. Związek Młodzieży Wiejskiej trochę lepiej, podejrzewam, że dlatego, że miał więcej pieniędzy. Natomiast najprężniej działająca organizacja to było Zrzeszenie Studentów Polskich. Zawsze.

Gdzie Pan studiował i co Pan studiował?

Wtedy studiowałem w Gdańsku prawo.

Kiedy Pan się zaangażował w działalność opozycyjną. Czy jeszcze przed 80 rokiem?

W 80 roku. Od samego początku. Pracowałem wtedy w Zarządzie Wojewódzkiej Dyrekcji Transportu Wiejskiego w Słupsku. Chcieliśmy przystąpić do strajku jak się zaczęły strajki, ale MKS gdański nie pozwolił z tego względu, że to był czas żniw. Myśmy mieli transport zboża- dystrybucja żywności. Mogliśmy tylko wspierać.

Po Porozumieniach Sierpniowych?

Kiedy powstał w Słupsku Międzyzakładowy Komitet Założycielski od razu pomyślano o wydawaniu jakiegoś własnego biuletynu i tak się złożyło, że byłem chyba jedynym który potrafił, miał pojęcie, jak się za to zabrać. No i zostałem szefem tego tygodnika, bo to był tygodnik, wydawany do samego stanu wojennego.

Został Pan oddelegowany do tego biuletynu, czy jednocześnie Pan pracował?

Przez pewien czas, do wypadków marcowych, pracowałem i prowadziłem ten tygodnik. Po wypadkach marcowych, za porozumieniem zakładów pracy, zostałem przeniesiony, nie za zasadzie oddelegowania, tylko zmiana miejsca pracy za porozumieniem zakładów pracy.

Jakie doświadczenia skłoniły Pana do podjęcia działalności?

Nie uwierzy Pan. Wcześniej przestudiowałem komplet dzieł Lenina.

I to był bezpośredni motyw?

To był bodziec. Bo te szczytne ideały i tak dalej, to był wielki pic na wodę od samego początku. To zresztą widać z dzieł Lenina, widać skrajny, wielkoruski szowinizm od początku. A najlepiej o tym świadczy tom XX dzieł, który jest najbardziej poświęcony sprawom polskim.

W oryginale Pan czytał tego Lenina?

Był to przekład na polski, wydanie „Książka i Wiedza” 49 do 53 roku. Nawet od czasu do czasu sięgałem do nich do swoich publikacji, bo warto było. Bo to jest fantastyczna literatura, to się fantastycznie czyta. Lenin był znakomitym publicystą. I na podparcie swoich też antyradzieckich, to zrozumiałe, ja się posiłkowałem Leninem. Miałem nawet kiedyś zabawną historię w roku 82. Kiedy zostałem aresztowany, przyszło kilku panów na rewizję, no i jeden z nich zobaczył na półce komplet dzieł Lenina, chyba 45 tomów, i mówi: „Niech Pan powie, Pan to wszystko przeczytał?”. Ja mówię: „tak”. On mówi: „Wie Pan, ja do tej pory nie zdołałem się za to zabrać”. Ja mówię: „To duży Pana błąd, bo wiedziałby Pan, czego Pan broni.”.

Czym była dla Pana ta działalność opozycyjna?

Mi się zdaje, że pokazaniem tego, co w nas najlepsze. Z jednej strony chodziło o konsolidację społeczeństwa, bo społeczeństwo wcześniej było bardzo zatowizowane, każdy żył sobie. Natomiast ten Sierpień pokazał, że można żyć razem, że można razem coś zrobić i to zrobić w miarę skutecznie. I to mnie wciągnęło i to bardzo mocno. I doszedłem również do tego, że drukowałem w biuletynie AS-a. AS to był taki biuletyn prasowy wydawany przez region Mazowsze- Agencja Solidarność. Wtedy były dwa tytuły konkurencyjne. Był gdański BIPS i warszawski AS. Bardziej byłem związany z warszawskim AS-em. Dlaczego? Dlatego, że BIPS był bardziej związkowy i bardziej personalnie związany z pewnymi ludźmi. Natomiast AS miał szerszą formułę. I mi to bardziej odpowiadało.

Czy podejmując tego typu działalność miał Pan świadomość jakichś represji, jakie mogą Pana ewentualnie spotkać?

Ja już wtedy miałem 30 lat, więc z pewnych rzeczy człowiek sobie musiał zdawać sprawę. Chociaż wtedy było bardzo niepopularne [to], co mówiłem, ale ja z góry zakładałem, że nam pozwolono na pewien czas. Koledzy nie bardzo się chcieli ze mną zgadzać, dochodziło pomiędzy nami do różnych, powiedzmy, utarczek słownych. Natomiast ja zakładałem, że prędzej czy później, raczej prędzej, to zostanie zdławione. Tym nie mniej uważałem, że warto żeby przypomnieć społeczeństwu pewne rzeczy, które dla nas były oczywiste. Tym bardziej, że w domu byłem wychowany w duchu patriotycznym. U nas w domu o Katyniu, o tych rzeczach mówiło się wprost. Potem sporo czytałem literatury z drugiego obiegu.

Czy w tym czasie nosił Pan już brzemień odpowiedzialności za rodzinę?

Nie. Byłem wolny i to był mój wielki atut. Bo później, kiedy już przyszło siedzieć, wiem, że było mi o wiele łatwiej znosić więzienie niż ludziom, którzy mieli żony i dzieci.

Jak długo Pan się zajmował działalnością opozycyjną?

Taką legalną działalnością opozycyjną- wiadomo- do 13 grudnia. A właściwie do 12-tego, bo w nocy z 12 na 13-tego grudnia mnie zgarbięto, pojechałem do Strzebielinka. Tam przesiedziałem parę miesięcy. I, tak jak w tej chwili to oceniam, to była dla mnie znakomita szkoła. Bo byli [tam] ludzie z różnych środowisk. Było sporo osób ze świata nauki, z Trójmiasta, później jeszcze dowieźli Toruń. Tak że myśmy tam mieli wykłady ludzi utytułowanych. Myśmy się śmiali, że skończymy Strzebielinę i będziemy w University of Strzebielink, bo będą dyplomy wydawać. Potem, po wyjściu z internatu, to był bodajże koniec lipca 82, zaczęliśmy tu na miejscu wydawać biuletyn podziemny. Myśmy sobie doskonale zdawali sprawę [z tego], że безпеka dobrze wie, kto to robi. Bo nas naprawdę była mała grupka, która była w stanie to zrobić. Myśmy się nie ukrywali, myśmy pracowali normalnie na etatach. Zresztą tutaj muszę [oddać] duży ukłon w stronę ówczesnego szefa w Spółdzielni Transportu Wiejskiego, który, kiedy mnie internowano, szybko zlikwidował papiery o służbowym przeniesieniu mnie do regionu i wystawił mi tylko bezterminową kartę urlopową na działalność związkową. Tak że po wyjściu z internatu miałem gdzie wrócić do pracy. Zresztą miałem z nim zabawną rozmowę, bo widziałem, że facet chce porozmawiać, a trochę się bał. Byłem członkiem zarządu spółdzielni. Kiedyś wybierałem się w teren, bo myśmy mieli całe ówczesne województwo śląskie. Wybierałem się w teren do Człuchowa i on mówi: „Słuchaj, ja też jadę, to sobie pojedziemy razem.”. No dobra. W samochodzie nie było rozmowy. Zatrzymaliśmy się na papierosa, wyszliśmy na polance i on mówi: „Słuchaj, jakie są naprawdę twoje poglądy?”. Ja mówię: „Tadeusz, takie same jak twoje, tylko, że tobie nie wolno o tym mówić.”. Bo w sumie znałem go na tyle, że wiedziałem, na co mogę

sobie pozwolić. I to trwało do 15 grudnia 82. Już wcześniej, w końcu listopada, była wielka wsypa. Paru kolegów aresztowano, ja byłem aresztowany jako ostatni. Aresztowano mnie 15 grudnia, zabrali mnie z pracy. Jeszcze [raz] przyzwoitość mojego ówczesnego szefa, Tadzia, bo przyjechali do mnie do Zarządu. Tadzio ich wysłał za mną, że ja podobno jestem w Sławnie na kontroli. Ja na kontroli byłem, ale w jednym ze słupskich oddziałów. Więc oni pojechali do Sławna. Zanim oni dojechali do Sławna, to Tadeusz zdążył mnie uprzedzić, że coś się szykuje. To było bardzo przyzwoite z jego strony. Tym nie mniej nawet nie próbowałem się ukrywać, bo ja sobie zdawałem sprawę z jednego: że jeżeli ja się ukryję, to praktycznie będę schowany, ale nic nie będę mógł zrobić. Bo Słupsk to jest mimo wszystko grajdoł. Ja mogłem się ukryć gdzieś na wsi pod Słupskiem, ale to by mi nic nie dało, bo nie miałbym łączności.

No i byłby Pan sam.

I pewnie byłbym sam. Śledztwo było jeszcze w trybie doraźnym.

W Słupsku?

Tak. Prowadziła Prokuratura Garnizonowa w Koszalinie, bo to było jeszcze z Dekretu o stanie wojennym. później siedziałem jeszcze do marca, do rozprawy. Sam proces trwał trzy tygodnie.

Pan był w grupie?

W grupie. Sześciu nas było. W pierwszej instancji dostałem rok i osiem miesięcy. Sądził mnie sąd wojskowy. I muszę Panu powiedzieć, że to było coś niesamowitego, bo w ówczesnym czasie ten sąd wojskowy był o wiele uczciwszy w stosunku do nas, niż sądy cywilne. Zresztą potem [to] potwierdzali koledzy, że w ogóle, z wyjątkiem Sądu Marynarki Wojennej w Gdyni, sądy wojskowe były jak na tamte czasy w miarę przyzwoite. Wyrok był bodajże 23 marca 83 roku i po wyroku pojechałem do Potulic. I tam siedziałem do amnestii.

Amnestia przyszła w lipcu?

Amnestia była na 22 lipca 83 roku i ostatniego lipca wyszedłem na wolność.

I wrócił Pan do działalności podziemnej?

A wyobraża Pan sobie inną możliwość? Nie do tych funkcji, jakie pełniłem w strukturach przed [stanem wojennym], bo wiadomo, że życie nie znosi próżni i w międzyczasie inni przejęli pałeczkę, tym nie mniej dalej prowadziłem działalność związkową w firmie. Zbiórki... Po wyjściu z więzienia był jeden najgorszy problem, że niestety nie mogłem już wrócić do Spółdzielni Transportu Wiejskiego i w ogóle był taki nieformalny zakaz zatrudniania mnie w Słupsku. Przez pół roku chodziłem, szukałem pracy, zawsze rozmowa była fajna, kwalifikacje, wszystko jak najbardziej, dopóki nie padło nazwisko. Padło nazwisko: „No to Pan przyjdzie jutro.”. No i już wiedziałem, co będzie. Tak chodziłem przez pół roku od firmy do firmy. Nie pomagało nawet [to], że podstępem udało mi się dostać skierowanie już do konkretnego zakładu, na konkretne stanowisko z wydziału zatrudnienia. To nic nie skutkowało. Wreszcie trafiłem do Zieleni Miejskiej, no i po rozmowie z panią kadrową, pani kadrowa mówi: „To niech Pan przyjdzie jutro.”. A ja: „Acha, to znaczy, że mogę nie przychodzić.”. Bo już miałem dość tego, bo ile można? No i ona się zainteresowała dlaczego. Wyjaśniłem jej całą sytuację nie ukrywając niczego. Bo w końcu, mój Boże, ona mówi: „Dobrze, niech Pan przyjdzie jutro.”. Okazało się, że o ten sam etat starał się mój znajomy, który miał pracę, tylko chciał sobie zmienić. Jak usłyszał, że to ja się staram o to miejsce, [to] zrezygnował i tam mnie przyjęto do pracy. Z tym że na początku znałem dyrektora. Zresztą tu się wszystkich w Słupsku znało, to jest małe miasto. Tu się wszyscy znali. Poprosiłem

dyrektora o rozmowę. Przedstawiłem sytuację, że może mieć problemy z tego tytułu, że mnie zatrudnia. Na to on mówi: „Panie Pawle, to co Pan robi poza firmą, to mnie nie obchodzi, a jak w firmie Pan będzie fikał, to ja jestem dyrektorem i ja będę wiedział, co mam zrobić”. Tak samo tłumaczył się w Komitecie Wojewódzkim. No i tam przepracowałem ładnych kilka lat.

Co Pan robił w tym czasie w podziemiu?

Pisywałem, [czyli to, co umiem najlepiej]. No i prowadziłem działalność związkową typu: zbieranie składek, wypłacanie zapomóg kolegom, którzy potrzebowali itd. I to trwało do 89 roku. Potem, kiedy zaczęły się Komitety Obywatelskie, szybciotko się w to włączyłem. Bo sobie nie wyobrażałem, aby to mogło być beze mnie. No i tak to poleciało. Moje związki z polityką trwały do 92 czy do 93 roku ... Potem się wyłączyłem z czynnej polityki.

Wróćmy raz jeszcze do okresu stanu wojennego. Czym było dla Pana wprowadzenie stanu wojennego?

Powiem inaczej. Jak dostałem decyzję o internowaniu, to dumny jestem z tego do tej pory, bo w województwie śląskim nie było numeru niższego od mojego. I decyzja była wystawiona z dniem 31 marca 81 roku. Tekst był napisany na maszynie i potem, jak nam to w nocy z 12 na 13 wręczono, to było przekreślone 31 marca i nad tym długopisem napisane 13 grudnia. Dla mnie to była konsekwencja ciągu wydarzeń. Te wszystkie prowokacje, które miały miejsce ze strony władz, to wszystko do tego zmierzało. Zresztą jak się później okazało po wprowadzeniu stanu wojennego: były szef regionu, bardzo wojowniczy Eligiusz Naszkowski, był majorem MSW. Prawdę mówiąc tak samo infiltrowane były wszystkie regiony. Może nie na tym szczeblu, ale wszędzie byli ich ludzie.

Czy w tym czasie mieszkał Pan z rodzicami?

Tak, mieszkałem z rodzicami. W działalność zaangażowana była również moja najmłodsza siostra.

Jaka była reakcja rodziców?

Rodzice się spodziewali. Bo tutaj byliśmy zgodni co do tego, że to jest tylko kwestia czasu. Rodzice spodziewali się tego tak samo jak i ja. Natomiast pamiętam, w Wigilię w 81, kiedy na pierwsze widzenie przyjechał mój ojciec, to z jednej strony widać było, że jest mu trochę głupio, że siedzę, z drugiej strony duma z niego aż parowała.

Wymienił Pan już wiele represji, jakie Pana spotkały w okresie stanu wojennego. Które z nich uznałby Pan za najgorsze?

Zakaz zatrudniania! Poszukiwanie pracy! Tym bardziej, że wtedy obowiązywała ustawa o obowiązku zatrudnienia. Bo to, że miałem inwigilację, że mnie pilnowali... Kiedyś zrobiłem numer, specjalnie się umówiłem z kumpelką. Kumpelka mieszkała w Lęborku. Umówiliśmy się, że się spotkamy w Lęborku. Pociągami dojechałem do Lęborka, ona się do mnie dosiadła i pojechaliśmy do Gdańska. Cały dzień łaziliśmy po Gdańsku, już ledwie żyliśmy, ale wyciągaliśmy nogi, bo bardzo łatwo było się zorientować, że się ma ogon i kto to jest. I myśmy specjalnie chodzili po tym Gdańsku całutki dzień, żeby faceta troszkę przegonić.

Czy Pana rodzina również doświadczyła w tym czasie represji?

Kiedy mnie zatrzymywano, czy aresztowano, to moją siostrę (która też z nami mieszkała i też była zaangażowana w działalność) też zawsze profilaktycznie wsadzano na 48. To było normalne. Zresztą w moim przypadku takie na 48 najdłużej trwały 14 dni.

Wolno było na 48, więc brali na 48 na dołek, po 48 wychodziłem, wyszedłem ledwo za bramę i znowu zatrzymywali, z powrotem na dołek i znowu na 48. Myśmy też im robili numery typu, że jak się zbliżało jakieś święto państwowe, kiedy wiadomo było, że przyjdą, zgarną (bo zawsze to robią), to człowiek dzień wcześniej gdzieś się schował. W końcu [było] trochę rodziny, troszkę znajomych... Na te dwa-trzy dni zawsze można się było schować. Chowaliśmy się, a potem na główne uroczystości, na te, na które nas zamykano po to, aby nas tam nie było, myśmy się zjawiali. Dopiero niedawno wyszła z tym związana bardzo przykra sprawa, dla mnie bardzo przykra. Mieliśmy takiego człowieka, który, jak na tamte czasy, dysponował luksusowym samochodem i służył nam tym samochodem dosłownie na zawołanie. Transport z jego strony czy ze strony jeszcze takiego kolegi, zawsze myśmy mieli zapewniony. To było dwóch ludzi z Solidarności Rolników Indywidualnych. To byli rolnicy spod Słupska.

A jak się nazywali?

Nie chcę o tym mówić, bo żyją, funkcjonują... I właśnie w ostatnich latach okazało się, że jeden z nich był TW. I właśnie ten drugi, jego najbliższy przyjaciel, jak się [o tym] dowiedział, zapłacił za to zawałem. No tak to bywa. Zresztą jak się później okazało, TW był również mój najbliższy współpracownik jeszcze z czasów legalnej Solidarności, potem jeden z moich najbliższych współpracowników z podziemia. Ale to wychodziło dopiero później. Natomiast fizycznie dostałem dwa razy. Przepraszam, trzy... Bo pierwszy raz oberwałem jak mnie zawieźli do Strzebielinka, bo tam od samochodu do wejścia, do bramy trzeba było przejść przez ścieżkę. Potem drugi raz oberwałem jak mnie aresztowali, na pierwszym przesłuchaniu. Przyszedł facet, daje mi maszynopis, dwie stronice: „ Proszę, niech Pan to podpisze, zaraz Pan wyjdzie.”. Mówię: „Chwileczkę, ja to przeczytam.”. Niezbyt chętnie, ale dał mi to przeczytać. No autentycznie, stek bzdur, ale obciążających konkretnie trzy osoby, które, powiedzmy, w jakimś stopniu były umoczone w naszą działalność, ale w końcu, ja sobie zdawałem sprawę z tego, że jak ja siedzę, to mnie tak łatwo nie puszczą, po cholere ciągnąc następnych. No więc mówię do faceta: „Panie, Pan bajki pisze, to niech Pan je podpisuje. Stek bzdur.”. No i w tym momencie dostałem w pysk, potem trochę po piętach, co już jest gorsze. I trzeci raz dostałem już po amnestii, po wyjściu z więzienia. Wezwano mnie na komendę i był taki ubek, z którym kiedyś razem kopałem piłkę. On nagle się okazał wielki przyjaciel: „Słuchaj, jakbyś chciał wyjechać, to paszport za trzy dni dostaniesz.”. Ja już wcześniej wiedziałem, bo paszporty rzeczywiście dawali. Ale w paszporcie w tamtych czasach zawsze było: na przekroczenie granicy tam i z powrotem, i to „z powrotem” było wykreślone. I ja mu mówię: „Wiesz Andrzej, chciałbyś, abym wyjechał z dwóch powodów. Po pierwsze, miałbyś mnie z głowy, a po drugie, mógłbyś puścić wetę, że proszę, najpierw działał, a potem spieprzył.”. Mówię: „Ja nie wyjadę też z dwóch powodów. Po pierwsze moje miejsce jest tutaj, a po drugie ktoś kiedyś was musi rozliczyć.”. Oczywiście z mojej strony to był taki gest rozpaczy- no bo co ja innego mogłem? No i wtedy dostałem od niego w pysk, wyrzucił mnie za drzwi. I na tym się skończyło. Już więcej mi paszportu nie proponowano.

Porozmawiajmy teraz na temat skutków represji. Ta kwestia już się parę razy pojawiła. Pytanie o trwałe skutki jakie nastąpiły w Pana życiu, np. pogorszenie stanu zdrowia...?

Najbardziej trwały skutek to była moja radykalizacja. Takie normalne – im bardziej człowieka gnębią, tym bardziej człowiek się stawia. I to jest naturalnie chyba psychologicznie uzasadnione.

To jest pozytywny skutek, można powiedzieć?

No, chyba tak.

A z tych negatywnych?

Z tych negatywnych? Przed samą amnestią, na początku lipca w 83, w Potulicach podjęliśmy 14-dniową głodówkę, kiedy przez 14 dni była tylko przegotowana woda i nic więcej. Po tych 14 dniach, przy wzroście 175 ważyłem 43 kg. Może Pan sobie wyobrazić. Takie coś nie może pozostać bez wpływu, trudności gastryczne itd. To jest naturalna konsekwencja. Natomiast co muszę uczciwie powiedzieć: myśmy wtedy tę głodówkę podjęli nie dla nas, bo myśmy z góry zakładali, kto może podlegać pod amnestię. Myśmy wiedzieli, że my mamy małe wyroki, więc my wyjdziemy. Natomiast byli koledzy, tacy jak Andrzej Milczanowski, czy Tolek Grabarczyk z Gdańska, czy Rysiu Toczek z Gdyni, którzy mieli dużo większe wyroki. I wiadomo było, że oni zostaną. I myśmy chcieli wywalczyć na władzach więziennych pewne luzy dla nich, dla tych którzy zostaną. Bo jeżeli nas jest więcej, to nam łatwiej pewne rzeczy wywalczyć jakimiś zbiorowymi protestami. Natomiast kiedy ich zostanie garstka, to będzie trudniej.

Udało Wam się to?

Myślę, że w pewnym stopniu tak! Zresztą w Potulicach [była] zabawna historia: w więzieniu nasi koledzy opracowali metodę. Był w takich półlitrowych puszkach sok pomarańczowy dodoni. No i koledzy opracowali metodę, jak z tego wypompować sok, a napompować czysty spirytus, [tak] żeby śladu nie było. No i na widzenie, dzień przed moimi imieninami, przyjechała moja rodzina (ojciec z siostrą przyjechał) i między innymi przywieźli mi tę puszkę. Wiedziałem, co tam jest w tej puszcze. W celi było nas pięciu, i jak na pięciu ludzi, powiedzmy, w nie najlepszej formie fizycznej, wypilo się te pół litra spirytusu, to szmer był. Natomiast wracając do mojego wyroku... W pierwszej instancji dostałem rok i osiem miesięcy. Potem Sąd Najwyższy dołożył jeszcze dziesięć miesięcy. Tośmy się śmieli, że to był dodatek funkcyjny. Tak że w sumie wyroku miałem 2,5 roku, z tym że prokurator żądał 6,5 i pozbawienia praw publicznych na lat 10. Natomiast sąd wojskowy był, moim zdaniem, bardzo przyzwoity. Jeżeli można, przytoczę pewien przykład. W czasie procesu zeznaje świadek, świadek oskarżenia oczywiście, nasz kolega z Solidarności (był razem z nami internowany). Opowiada przed sądem jak to myśmy się w kącie zbierali, coś tam żeśmy szeptali, a jego żeśmy nie chcieli do tego dopuszczać, ale on kiedyś podsłuchał naszą rozmowę no i relacjonuje ten rzekomy przebieg naszej rozmowy. Skończył, sędzia pyta czy strony mają pytania do świadka. Przede mną siedziała Hania Skowrońska, późniejsza pani senator, która nas broniła. Ja mówię: „Haniu, ja chcę zapytać.” No to Hanka mówi, że tu oskarżony Połec chce zadać pytanie. No to proszę bardzo. No więc pytam świadka: „Proszę świadka, proszę powiedzieć Sądowi, czy świadek aktualnie pracuje.”. Prawdopodobnie prokurator kapnął się, o co mi chodzi i zgłasza do sądu sprzeciw, że to nie ma związku ze sprawą. Sędzia mnie pyta, czy to ma związek ze sprawą. Ja mówię: „Tak, ale to wyjdzie w dalszej części pytania.”. „A to będzie więcej pytań? No to proszę pytać.”- sąd na to. No i ponawiam pytanie: „Czy świadek aktualnie pracuje?”. „Nie, nie pracuję.” „A z czego się świadek utrzymuje?” „Jestem na rencie.” „Której grupy?” „Drugiej.” „Jaka przyczyna renty?” „Zły słuch.” Rozumie Pan! Głuchy podsłuchał! A dla mnie to była tym bardziej frajda, bo rozprawa była otwarta, na największej sali sądu słupskiego, gdzie połowa sali to byli ubecy, ale druga połowa, to byli nasi koledzy. Z całego więzienia najtrudniejszy był okres w areszcie śledczym w Słupsku, bo tutaj żeśmy siedzieli z różnymi ludźmi, z kryminalistami... I tu było ciężko. Potem, po wyroku, kiedy nas zawieźli do Potulic, tam już polityczni mieli osobny pawilon. Myśmy się tam częściowo znali z czasów jeszcze legalnej działalności, tak że nam było dużo łatwiej.

A wracając do tej głodówki, nie próbowano Was karmić przymusowo?

Nie.

Czy mógłby się Pan podzielić swoimi refleksjami na temat oceny stanu wojennego. Czy pomimo wszystkich trudności, cierpień tego okresu były jakieś pozytywne rzeczy, które się zdarzyły? Mówił Pan o radykalizacji...

Raz radykalizacja, a dwa że stan wojenny bardzo spolaryzował społeczeństwo. I można było prawie bez pudła powiedzieć: ten jest „nasz”, a ten jest „nie nasz”. A poza tym spotkałem się z życzliwością wielu ludzi, których nigdy wcześniej nie znałem, i których prawdopodobnie nigdy w inny sposób bym nie poznał.

Rozumiem również, że tamte przyjaźnie były pewnie na tyle mocne, że przetrwały do dzisiaj?

No, powiedzmy, z wyjątkiem jednej. Ale to za wysoko, żeby o tym rozmawiać.

Jak w ogóle okres stanu wojennego wpłynął na Pana życie? Co Pan mógłby osiągnąć, a czego Pan nie osiągnął na skutek wprowadzenie stanu wojennego?

Nigdy nie osiągnąłem tego, że kiedy chcę mogę wsiąść w pociąg, samochód czy samolot i jechać gdziekolwiek. I ta cena, którą zapłaciłem za to, uważam, że warto było. Bo prawda jest taka, że człowiek o tych złych rzeczach zapomina. Natomiast to, że teraz wielu ludzi mówi: „komuno, wróć”, „za komuny było lepiej”... Nie było im lepiej. Tylko ci ludzie byli o dwadzieścia parę lat młodszy. I to jest tęsknota za młodością. Nie za tym co było. Natomiast muszę tu jeszcze powiedzieć o jednym panu z przeciwnej strony, też nie chcę mówić nazwiska, bo w jego środowisku mógłbym go spalić. Człowiek, który jako ubek był w tamtych czasach wyjątkowo wredny i cyniczny. Ale potem, kiedy już pracowałem w Zieleni Miejskiej, jeszcze przed rozmową Wałęsa-Miodowicz..., miałem swój gabinet. Przychodzi do mnie. „Dzień dobry panie Pawle.” Ja mówię: „Nie bardzo dobry, skoro Pana widzę.” Na tym poziomie były rozmowy wszelkiego rodzaju, jeśli w ogóle były. „Niech się Pan nie denerwuje, musimy porozmawiać.” Ja mówię: „No dobra, to co Pan wypije? Kawę, herbatę.” „No, kawę.” Zrobiłem mu tę kawę, bo skoro mamy rozmawiać... Zrobiłem kawę, facet wyjął z teczki magnetofon, włożył kasetę i włączył. Nie po to, żeby mnie nagrywać, ale po to, żeby odtworzyć pewną rozmowę z kimś, kto kiedyś był mi bardzo bliski. W podziemiu właśnie. To był 88 rok. Mówię: „Dlaczego Pan to robi?”. Bo na koniec on mi dał tę kasetę. Mówię: „Dlaczego Pan to robi?”. A on mówi: „Bo wie Pan, bo jak ja Panu na ulicy mówię dzień dobry, to Pan mi odpowie.”. Mówi: „Ja Pana po prostu szanuję jako przeciwnika i chcę, żeby Pan to wiedział.”.

To straszny cynizm. Chcieli Was w ten sposób poróżnić?

Nie, po prostu, gdyby nie ten człowiek, nie byłoby tej całej naszej wyspy. Ale to wyszło dopiero potem.

Co uważa Pan za najgorsze w okresie stanu wojennego?

Upodlenie człowieka. To było najgorsze. Bo jeżeli można było człowieka wziąć bez słowa na 48, nawet nie przesłuchać, nic! Wrzucić na dołek, po 48 wypuścić... To jest traktowanie człowieka jak rzecz.

A jak Pan ocenia zmiany, jakie nastąpiły po roku 1989?

Uważam, że to poszło w dobrym kierunku, tylko w pewnym momencie Balcerowicz popełnił jeden błąd. Kiedy wprowadził pierwszy etap reformy (ja jeszcze wtedy funkcjonowałem czynnie w polityce), on się przestraszył skutków. I nie poszedł za ciosem. A wtedy było przyzwolenie społeczne na dalsze reformy, łącznie z podatkiem liniowym. Gdyby on wtedy poszedł za ciosem, byłibyśmy w tej chwili co najmniej o 15 lat do przodu jeśli chodzi o gospodarkę. Natomiast to, że się ta scena polityczna w

pewnym momencie podzieliła, to było dla mnie oczywiste. Bo przecież cały ten szeroko pojęty ruch Solidarności to był zlepek najróżniejszych opcji, koterii itd. Potem okazało się również, że za dużo ludzi ma ambicje wodzowskie. I to też była jedna z przyczyn, dla których to wszystko się rozpadło. Chociaż utrzymanie tego w jedności, tak jak z dzisiejszej perspektywy patrzę, było niemożliwe. Ja w 90 roku, kiedy zaczęło powstawać Porozumienie Centrum i Unia Demokratyczna poparłem Mazowieckiego i funkcjonowałem w Unii Demokratycznej nawet dość wysoko, byłem tutaj szefem Regionu Słupskiego. I byłem na tyle skuteczny, że kiedy były wybory prezydenckie, byłem szefem sztabu wyborczego Mazowieckiego w wyborach prezydenckich na województwo słupskie. I w czerwonym Słupsku, w I turze wygrał Mazowiecki. Nie Tymiński, nie Wałęsa, tylko Mazowiecki. Później, kiedy w 91 były wybory parlamentarne również szefowałem komitetowi wyborczemu w Słupsku i wtedy też myśmy te wybory wygrali. Zresztą wygraliśmy je również w skali kraju, bo Unia Demokratyczna miała wówczas 22 % i to był najwyższy wynik w kraju. Natomiast stało się tak, że rządy przejął kto inny.

Dlaczego Pan się wycofał z polityki w 92-93 roku?

W pewnym momencie stwierdziłem, że na szczeblu centralnym polityka zaczyna, delikatnie mówiąc, śmierdzieć, że nieważne jest to, co się mówi oficjalnie, tylko zaczynają być ważne rozgrywki personalne. Ja stwierdziłem, że nie mam ochoty się w to bawić.

Czym się Pan zajął?

Zająłem się działalnością charytatywną. Najpierw to był dom dla dzieci upośledzonych w Przytocku koło Miastka. Tam pomogłem to wyprowadzić, bo przejęli to zakonnicy ze zgromadzenia braci szkolnych. Pomogłem im to wyprowadzić do takiego stanu, że to się zrobił samograj. Później organizowałem wspólnie z księdzem Antonim Tofilem w Słupsku schronisko brata Alberta. To się też zrobił w pewnym momencie samograj. No i potem, trafił się Holender z którym się zaprzyjaźniliśmy i za jego pieniądze, bo on w 100 procentach ufundował, wybudowaliśmy w Słupsku stacjonarne hospicjum dla chorych umierających na raka. Byłem przez parę kadencji prezesem tego Towarzystwa Opieki Paliatywnej. Zresztą ja prowadziłem całą budowę. Teraz nadal funkcjonuję w tym stowarzyszeniu jako wolontariusz.

Ciekawe, że Holender...?

...nie mający żadnych związków z Polską.

Człowiek z Holandii, gdzie, wydawałoby się, jest trochę inny kurs...?

Zaczął się trochę dziwnie. On był klientem mojej żony- żona jest notariuszem. I on tutaj, na naszym terenie prowadził duże interesy. To był nasz rówieśnik. Coś zaczęli rozmawiać na temat działalności charytatywnej itd. Myśmy akurat organizowali Towarzystwo Opieki Paliatywnej w Słupsku. No i tak od słowa do słowa on się tym zainteresował. I zanim zdążyliśmy zarejestrować stowarzyszenie, mieliśmy od niego na koncie duże, jak na tamte czasy, pieniądze. On chciał, abyśmy znaleźli jakiś obiekt w mieście, który on byłby w stanie zaadaptować, wyremontować na potrzeby hospicjum. Taki obiekt się nie znalazł. Poszliśmy z nim do ówczesnego prezydenta miasta i on mówi, że jeżeli nie ma takiego obiektu, niech miasto da działkę, to on pobuduje. No i tak się stało. Na otwarciu hospicjum w 97 wystąpiłem do Rady miejskiej o nadanie Janowi honorowego obywatelstwa miasta. Rada jednogłośnie to uchwaliła. Więc Jan czuł się bardzo z Polską związany. Był zakochany w Polsce. Zawsze mówił, że Niemcy trzeba zaorać, żeby Holandia graniczyła z Polską. Zresztą kiedy zmarł, bo zmarł w 2000 roku mając 50 lat, znów wystąpiłem do Rady Miejskiej, żeby tej ulicy, przy której jest

hospicjum, nadać nazwę Jana Druyffa. Też nie było żadnego problemu. Jeszcze przez pewien czas, kiedy było województwo słupskie, wciąż pracowałem w lokalnych mediach. Jeszcze pełniłem obowiązki doradcy Marszałka Sejmiku Województwa Słupskiego. Dziwne to było, bo facet był z PSL-u. Z tym że znaliśmy się wcześniej, bo myśmy się tu wszyscy działający na niwie publicznej znali, myśmy się musieli znać. Zadzwoił i mówi, że prosi o spotkanie. Spotkaliśmy się i mówi: „Słuchaj, chciałbym, abyś był moim doradcą.”. Mówię: „Mirek, nasze opcje polityczne...”. A on mówi: „To nic, stary, my nie zawsze jesteśmy po tej samej stronie, ale ja wiem, że mnie nie zrobisz w konia, bo jesteś za uczciwy.”. I to było fajne.

Czym się Pan obecnie zajmuje?

Trochę pisuję, chociaż na luzie. Nie jestem sztywno związany z nikim ani z niczym.

Jak Pan sobie obecnie radzi finansowo?

Nie najgorzej, nie najgorzej.

Mieszka Pan z rodziną?

Z żoną i z córką, z tym że córka jest z nami tylko na wakacje, bo tak normalnie jest w Poznaniu.

Jaki jest obecnie stosunek Pana i Pana rodziny do tamtej przeszłości opozycyjnej?

Prawdę mówiąc, gdyby nie tamta przeszłość, to byśmy się nigdy nie poznali. Po prostu moja żona przyjaźniła się z Hanią Skowrońską. Myśmy się poznali przez Hanię.

Czy ubiegał się Pan o odszkodowanie za poniesione szkody?

Nie.

A zamierza Pan?

Nie. Uważam, że to by było nieuczciwe, bo w końcu podejmując tamtą działalność, ja sobie doskonale zdawałem sprawę, co mnie za to może czekać. I nie robiłem tego dla pieniędzy. Robiłem to z własnej potrzeby.

Czy w tamtym czasie uzyskał Pan jakąś pomoc finansową albo jakąś inną?

Po wyjściu z więzienia, póki nie znalazłem pracy, dostawałem w miarę systematycznie niewielki, nawet jak na tamte czasy, ale zawsze jakiś, zasiłek z biskupiego komitetu koszalińsko-kołobrzeskiego, oraz jednorazowy zasiłek z komitetu księdza Jankowskiego. To trzeba uczciwie przyznać, że medycy z Akademii Medycznej z Gdańska zafundowali wszystkim wychodzącym z więzień kompleksowe badania lekarskie, pomogli doprowadzić zdrowie do jako takiego stanu. Jeżeli ktoś nie miał gdzie wyjechać na jakąś rekonwalescencję, to nawet były adresy, gdzie jechało się do Zakopanego na przykład na dwa tygodnie.

Kiedy Państwo wzięliście ślub i założyliście rodzinę?

Jesienią w 84.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Dziękuję.